

**RADEK** \_\_\_\_\_  
**RAK**  
\_\_\_\_\_  
PUSTE NIEBO  
\_\_\_\_\_



**RADEK** \_\_\_\_\_  
**RAK**  
\_\_\_\_\_  
PUSTE NIEBO  
\_\_\_\_\_

**KONTRAPUNKTY**



**powergraph**

Warszawa 2016

Copyright © 2016 by Radek Rak  
Copyright © 2016 by Powergraph  
Copyright © 2016 for the illustrations and cover illustration by Igor Myszkiewicz  
Copyright © 2016 for the endpapers by Barbara Boroń  
Copyright © 2016 for the cover by Rafał Kosik  
Copyright © 2016 for the photo of author by ON Studio  
Wszelkie prawa zastrzeżone.  
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik  
Redakcja: Michał Cetnarowski  
Korekta: Maria Aleksandrow  
Skład i łamanie: Powergraph  
Ilustracja na okładce oraz ilustracje we wnętrzu: Igor Myszkiewicz  
Mapka na wyklejce: Barbara Boroń  
Zdjęcie autora: ON Studio

Projekt graficzny serii i opracowanie: Rafał Kosik

Wyłączny dystrybutor:

Firma Księgarska Olesiejuk Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością Spółka jawna  
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki

tel.: 22 721 30 00

[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)



Wydawca:

Powergraph Sp. z o.o.

ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa

tel.: 22 834 18 25

[powergraph.pl](http://powergraph.pl)

[sklep.powergraph.pl](http://sklep.powergraph.pl)

e-mail: [powergraph@powergraph.pl](mailto:powergraph@powergraph.pl)

Druk: Białostockie Zakłady Graficzne S.A.

**ISBN 978-83-64384-53-0**

Printed in Poland, EU

*Cóż, jeśli nasze życie niczym więcej nie jest  
jak zagadkowym wiatrem wirowym, wiatrem, o którym  
Biblia mówi: wieszli, skąd on przybywa i dokąd idzie?  
Czyż nie śni się nam czasem, że stoimy w głębokiej wodzie  
i łowimy srebrne ryby, a nic innego się nie stało,  
tylko prąd zimnego powietrza musnął nasze ręce?*

Gustav Meyrink

*Nikommu się nie śniło, co mu się może śnić.*

Stanisław Lem





I  
Jak Tołpi łowił ryby  
i co z tego wynikło





A wszystko zaczęło się, gdy Tołpi złowił księżyc w sieć.

Był przedświt pochmurny i gęsty od mroku. Trzciny szumiały sennie, a w szuwarach snuły się, wzdychając smętnie, łachuny, gdy Tołpi z miękkim pluskiem wypłynął dłubanką na ciemny nurt Bugu. Październik szedł przez świat w niemiłym wietrze, kąsał zimnem uszy i dłonie.

Poprzedniego wieczoru zarzucił był Tołpi sieć w zatoce, koło zakola, bo tam rzeka zwalniała i zawsze łapało się sporo leszczy. Pociągnął raz i drugi – sieć była ciężka, o wiele za ciężka, musiało wodorostów nanieść i innego śmiecia. Zaparł się mocniej w łódeczce, palce grabiały od mokrego zimna. Po wodą coś błyszczało bladym srebrem, trupio tak trochę, i chłopakowi przypomniało się, jak babuszka Sławuszką opowiadała o utopcach i wsi w Bugu zatopionej. Tołpi był chłopak chudy i strachliwy, ale tak ładnie się w tej sieci jarzyło, tak czarująco i dziwnie pięknie, że ciągnął i ciągnął – i raz, i dwa, i raz, i dwa – aż wydarł rzece oblepiony minogami i mułem księżyc.

Księżyc był prawie w pełni, wielki jak balia i ciężki, śmierdział rzeką i rybami. Z ran po minogach broczył srebrną krwią, która na dnie łódki, zamiast rozlewać się

jak woda, zbijała się w chrzęszczące kuleczki. Blask bił od niego taki, że pod powiekami zostawały zielone i fioletowe kółka, a przy poruszeniu skrzyphiał jak paznokiec skrobiący o szybę, gdy styczniowy mróz namaluje na niej paprociowe wzory.

Tołpi z obrzydzeniem zdzierał z księżycy przyssane minogi i ciskał z powrotem do wody, księżycowa krew kapiała z ich bezmyślnych, wiecznie rozwartych pysków. Na końcu zarzucił na lśniąca kulę kapotę, by zdusić trochę blask, i chwycił za wiosła. Dłubanka zanurzała się głęboko.

Było zimno, bardzo zimno. Jakiś łachun na prawym brzegu zaniósł się rechotliwym, podobnym do kaszlu śmiechem. Świtało już, niepewnie i blade. Mdłe światło, zamiast rozpraszać cienie, tylko wyciągało je na wierzch.

Tołpi skrył łódkę w szuwarach. Na brzegu czekała dwukółka, którą woził ryby do ojcowej chaty. Załadował księżyc na wózek, poprawił na nim flanelową katanę. Chwilę myślał, czy nie pobiec prędko do chaty po wołka, bo choć dawno nie padało i droga była dobrze ubita, to księżyc swoje ważył. Potem jednak przyszły Tołpiemu na myśl łachuny, węszące pod jego nieobecność wokół dwukółki, wsuwające pod flanelkę kostropate łapska i unoszące z chichotem księżyc do swoich gniazd w szuwarach – rażno więc złapał dyszelek i potoczył się do wsi.

W chacie nie powie nic, trudno, znów mu ojciec grzbiet różgą wypieści, że ryb nie nałapał. A księżyc da Zorce. O, a to się Zorka zdziwi!

Świat stawał się jaśniejszy, z szarości budziły się nie barwy jeszcze, ale już sugestie barw. Nocna oćma powoli kryła się w dziuple i pod wykroty, jesienny świt rozmywał senną ułudę. Ciemność mieszka w ziemi, więc tam powoli wracała. Tołpi spociał się i zasapał, było trochę pod górkę. Wzdłuż drogi rosły pokrzywione, sękatę wierzby.

— Ksz, ksz! Tołpi!

— Czego? — Chłopak zatrzymał się, ocierając czoło: pot kapał mu aż do oczu.

— Grzeczniej byś może odpowiadał, co? Starszym jest od ciebie. — Z wierzbowej dziupli wynurzyła się chuda, ciemna gęba z oczkami jak guziki, wydłużona jeszcze bardziej kozią brodą.

— O, nie. Nie gadam z tobą. Ja wiem, coś ty za jeden: tyś jest wierzbowe lichy. — Tołpi złapał dyszel i zabrał się do dalszej drogi.

— Licho? Licho! Żadne tam lichy, jam czart szlachetnego rodu, pobiedniały jeno, to i w wierzbie siedzę. — Czart jął gramolić się z dziupli zielonym tyłkiem do przodu, wpadł do rowu, otrzepał się, parszając, i migiem znalazł się przy Tołpim. — Zapaliczka mię zwą. Co tam wiesz?

— Ryby — burknął Tołpi.

— Dziwne to ryby, co ich rzeczonym smrodem nie bardzo czuć. A może ty księżyc złowił i do Zorki wiesz, co? Bo dziś w nocy księżyc nie wzeszedł. Chmury były, ale czarty i przez chmury widzą.

— A kysz, lichu! A kysz! — Chłopak splunął przez lewe ramię i trzykroć przeżegnał się z prawa na lewo, jak uczyła babuszka Sławuszką.

— Uch, taki synu! — Zapaliczka wzdrygnął się z obrzydzeniem, jakby go mrówki oblażyły. — Ja jeno pomóc chciałem! Cała wieś wie, że oczami za Zorką jak kot za mlekiem wodzisz, a ona nic, podśmiechuje się z ciebie jeno, podchichuje.

— Pójdiesz ty! — Tołpi spróbował odpędzić czarta kopniakiem, ale ten zręcznie umknął pod ośką na tył wózka. Aż się w chłopaku zagotowało, bo Zapaliczka mówił prawdę.

— Pomogę ci dwukótkę czarami popchać, do Zorki zdążysz, a potem ryb jeszcze ojcu wędką nałapiesz i grzbietu ci nie obije. Pił nocą u Hasiura, przed południem nie wstanie.

— A co z tego będziesz miał? — zapytał Tołpi; wiedział dobrze, że czarty darmo nigdy nie pomagają.

— E, niewiele, siwuchy flaszeczuchnę i kankę mleka ciepłego.

— Mleko i siwucha? Rzygał jak kot będziesz.

— Czarty nie rzygają po gorzałce. — Zapaliczka smarknęła z zadowoleniem i wypiął chudą, kogucią pierś.

— O wiele prosić nie mogę, bo, jakem ci mówił, z diabłem jestem gołoty i bez portek światem chadzam. Ale i tyś, Tołpi, niebogaty, więcemy się dobrali. To jak będzie?

— Mowy nie ma, zawsze źle człowiek na brataniu się z czartem wychodzi. — Tołpi szarpnął wózką w jedną stronę, diabeł w drugą, i tak się mocowali, aż wywrócili

dwukólkę, a księżyc potoczył się po drodze i z cichym brzękiem rozbił o kamień.

— Niech to janieli — zaklął brzydtko Zapaliczka i znikł z trzaskiem wśród nikłego zapachu siarki.

Księżyc tymczasem leżał na drodze, rozbity dokumentnie w lśniący srebrem pył i drobne odłupki, jak skorpury jajka. Kulki krwi rozbiegły się po drodze. Tołpiego aż ścięło, poczuł mokre zimno pełznące po plecach.

Wypchał kieszenie księżycowym pyłem, ile tylko dał radę, a resztę zawinął we flanelkę, i czym prędzej pognął do Zorki, zostawiając dwukólkę na drodze.

Zorka była kowalową córką. Kowal córek miał pięć, a wszystkie takie, że i oddychać czym miały, i na czym siedzieć. Zorka, prawie najstarsza, była z nich najładniejsza, a gdy szła, jej białe piersi tak falowały, że Tołpiemu prawie odejmowało nogi, nie mówiąc już o głowie. No, a Zorka wiedziała, że się Tołpiemu podoba, i niekiedy bardzo brzydtko się z niego podśmiewała, że smarkaty i mleko mu pić, a ona chadza z chłopcami, co i w kielich zaglądają, i papierosy kurzą. Tak Bogiem a prawdą była Zorka od Tołpiego o jedną tylko zimę starsza, a i to niecałą, ale co począc, tak mu mówiła i już.

No, myślał Tołpi, biegnąc przez wieś niezgrabnie jak kaczka, bo ciążył mu w kieszeniach srebrny proch – ciekawe, czy który z tych chłopaków, co już gorzałkę pijają, dał kiedy Zorce prawdziwy pył księżycowy! Przez wieś snuł się zapach ognisk, zapach jesieni – ktoś widać nie próżnował i od świtu palił zeschłe liście.

Kowalową córkę spotkał, gdy szła po wodę do studni.

— Zorka! — zawołał Tołpi głośnym szeptem z mokrych od rosy łopuchów pod płótem, gdzie schował się przed psem. Kowal miał bowiem wilczura, wielkiego i czarnego, i w dodatku leniwego, to znaczy, że nie szczekał, tylko od razu gryzł.

— A ty tu co? Roboty nie masz, że pod moim płótem przesiadujesz?

— Chodź, coś ci pokażę.

— Nie mam czasu, wracaj do domu, mój ojciec ci obje, jak cię tak zobaczy.

— Ohoho! Dziś mi nawet kowal niestraszny. Pyłum ci przyniósł księżycowego. Jak srebro świeci. Pełne go mam kieszenie i kapotę całą.

— Nie gadaj! — śmieje się Zorka i zarzuca warkocz na plecy, ale podchodzi pod płót.

— Naprawdę. Księżyc złowiłem dziś w nocy, tylko mi go diabeł potłukł i sam pył został. Ale ilem dał rady, tyłem wybierał, i tobieniem, Zoreczko, przyniósł.

— E, zgłupiałeś ty chyba do reszty! Pokaż!

A Tołpi z szerokim uśmiechem wyciąga z kieszeni pełne garście pyłu, sypkiego i matowego jak cement, z którego budowano dworzec we Włodawie.

— Uch, ty głuptaku, ty! Trociny masz we łbie, dzieciuch z ciebie jeszcze! O, chodaki przez ciebie zmoczyłam!

— Zamachnęła się wiadrem na Tołpiego, ale ten odskoczył i uciekł. W głowie miał zdrowy zamęt i nie wiedział, co myśleć. Kowalówna wymyślała za nim długo.

To były prostsze i spokojniejsze czasy, i gdy kto nie wiedział, co myśleć, szedł albo do księdza, albo do

babuszki Sławuszki, a ci zaraz mówili, co myśleć należy. I tak działał świat, działał dobrze i po bożemu, choć tamtych dwoje mówiło nieraz rzeczy zgoła odmienne. Toteż Tołpi od kowala pobiegł prosto do babuszki, bo miał trochę bliżej niż do księdza.

Chata Sławuszki stała trochę z boku, zgarbiona i przechylona na jedną stronę, z dachem porośłym mchem i trawą, jakby powoli zagrzebywała się w ziemi. Babuszka w kwiecistej chustce na głowie siedziała na progu i karmiła kury.

— Pochwalony — zawołał Tołpi z daleka i nisko się pokłonił.

— Na wieki — odmruknęła mu babka. — Coś mi się, Tołpi, widzi, żeś nabroił, i to nielicho.

— E, nic, naprawdę nic. Tylkom dziś w nocy księżyc w sieć złowił i chciał Zorce kowalównie podarować, coby na mnie spojrziała i nie śmiała się więcej. Ale mi czart wierzbowy, Zapaliczka, księżyc stłukł, to ja Zorce chciał dać choćby pył, co się z księżycą osypał – ale zmienił się on w szary piach, o taki, o. Na to mi Zorka, że ja dzieciuch, że trociny mam w głowie. Ratujcie, babuszko, bo wstyd na całą wieś i hyr pójdzie, jaki to ja półgłówek! To był prawdziwy księżyc, najprawdziwszy – wy wierzycie, prawda, babuszko, że wierzycie?

A Sławuszka tylko kiwała się na progu w przód i w tył, memlając w ustach zeschłe źdźbło trawy i wbijając w Tołpiego chłodne spojrzenie. Trzymała kubek z kwaśnym mlekiem w brzydkich, spracowanych dłoniach z garbami żył, za to twarz miała jeszcze całkiem młodą

i ładną, choć surową. Na usta kładła karmin, jak kobiety z miasta, a włosy wysmykujące się spod chustki były grube i ciemne, bez śladów siwizny. Zdawało się, że jej dłonie opowiadają całkiem inną historię niż twarz, i nikt nie wiedział, która jest prawdziwa. Sama Sławuszką twierdziła, że żyła niegdyś w Lublinie, gdzie była wielką piękną i miała wielu kochanków.

— Sęk w tym — odparła w końcu, a głos miała młody, ale ostry jak brzytwa i nieprzyjemny jak noc listopadowa — że wierzę. Rację miała Zorka, że ci nauręgała. Ty, Tołpi, nawet trocin we łbie nie masz, ty w nim nie masz po prostu nic. Księżyc se, psiajucha, w sieć złapał i pomyślał, że księżyc już jego i do dziewczuchy na uciechę zanieś! Ojciec cię nie nauczył, że księżyc z Bugu wstaje, to i może się czasem w sieci zaplątać? Ale puścić go wóczas trza, bo księżyc bab humorami w ciebie rządzi, a bez tego ludzie się począć nie mogą. Gdy w nowiu — nerwy ludziom koi, a ziarnu zasianemu błogosławi, dlatego w nów siać należy. A w pełni krew w chłopach burzy, dlatego i jurniejsi wtedy, i do bitki bardziej skorzy, ale i cudów odwagi dokonać gotowi. Nów i pełnia to jest życia rytm, to są ciemnego serca świata uderzenia. Widzisz teraz, coś narobił?

Tołpi zląkł się słów babuszki i słabo mu się zrobiło, że przez niego ludzie poczynać się przestaną i do reszty wymrą. Wielkie łzy potoczyły mu się po brudnej twarzy.

— Ja nie wiedział, ja nie chciałem...

— Nie skamł, chłop jesteś czy baba? No, ani jedno, ani drugie, boś choć raczej nie baba, to i do chłopca ci



jeszcze daleko. Nie mówiłam, żeś złośliwy czy zły, jeno żeś głupi. A nie ma takiego zła na świecie, co by się go nie dało odczynić. Sposób trzeba znaleźć. Jest w Lublinie rabin, co ongi księżyce wytapiał. To cadyk Jan Azryjel Hesper. Mieszkał na rogu Kowalskiej, przy Wielkich Schodach, między chrześcijanami, bo w zbyt ciemnych grzebał sprawach i zbyt głębokie posiadał tajemnice, obłożono go tedy cheremem i wykluczono z kahału. Podobno wraz z Widzącym Horovitzem i dwoma innymi rabinami wzięli szturmem Niebiosa, by pojmać Boga i zmusić go do szybszego zesłania Mesjasza. Dopiero sam Archanioł Gabryjel zawrócił ich z szóstego nieba, i tak czterej rabini wrócili na ziemię. Jeden – Horovitz – został świętym; drugiego dręczyły duchy, aż pomieszało mu się w głowie, wyskoczył z okna i zabił się o bruk; trzeci zaczął pić. A Hesper się ochrzcił i zaszył w górnym mieście. Więc, Tołpi, nie ma rady: trzeba ci jechać do Lublina i znaleźć rabina Hespera, może jego głowa od mojej tęższa.

– Do Lublina? Ja?

– Nie, papież. Na mokrą brodę świętego Jana Nepomucena, Tołpi! Byłeś mądry rozbić księżyc, bądź teraz mądry go naprawić.

– Ale ojciec...

– Durnyś. Baby wnet rodzić przestaną, a ty się przejmujesz, że ci ojciec grzbiet przetrzepie? Już ja z nim pogadam, nic się nie bój, nic. A i z Zapaliczką będę ja musiała se dłużej pogawędzić, od serca i od wątroby. No, zbieraj się ty lepiej, bo pociąg z Włodawy do Lublina odjeżdża trzy kwadranse na jedenastą. Stary Chechełka dziś do

miasta na targ się wybiera sprzedać skórę z wołka, jedź z nim, to zdążysz. Pieniądze na bilet ci dam.

— A... ale...

— Tołpi, chciałem baba, ręki mojej poczuć nie chcesz, bo cięższą ci będzie od ojcowej. No, żywo.

Ano, rady nie było. Pamiętał Tołpi, a jakże, jak to z babuszką Sławuszką zadarł onegdaj Hasiurowy wnuk. Napyskował jej po pijaku, naubliżał nieprzystojnie bardzo, jak się żadnej babie nie godzi. A Sławuszka jak go nie ułapi, jak portek nie zedrze, jak po gołym tyłku nie przetrzepie! Nie koniec na tym, bo młodemu Hasiurowi ogon podobno prosięcy wyrósł. Tołpi już tego nie widział, bo się i Hasiur nikomu nie chwalił, ale jego siostra tak opowiadała, a ona na pewno dobrze wie. Nie chciał się więc Tołpi Sławuszcze narażać, bo był mu świński ogon niemiły, a i powoli zaczynało do niego dochodzić, że głupio i lekkomyślnie sobie z tym księżycem poczał.

Tak się więc stało, że w smętny październikowy poranek ruszył Tołpi do Lublina z paroma kopiejkami w trzosie i rozbitym księżycem na plecach.



## II

Jak Tołpi jechał koleją  
i kogo w niej spotkał

